



Kredki na pustyni

Dyrektor, który motywował jak mało kto.
Spartanin, który pomagał innym.
Biegacz, który porwał się na cztery pustynie.
Odebrał sobie życie po dwóch.

WOJCIECH STASZEWSKI



MARCIN ŻUK na konferencji prasowej przed 33. Maratonem Warszawskim, 21 września 2011 roku

Kula z trupa czaśką

- Wybieram się na Mont Blanc - mówi jej w tańcu. Jest 1999 rok, impreza pracownicza w korporacji. Marcin jest już specjalistą z sześcioletnim stażem, a Małgorzata dziewczyną z infolinii. Zakochuje się w dorosłym mężczyźnie. Dopiero co skończył studia (zarządzanie UW), ale od pierwszego roku pracował, był najmłodszym agentem ubezpieczeniowym w historii firmy. Wygadany, przystojny, z własnymi pasjami. Zwiedzają Polskę, bo Marcin jeździ po kraju ze szkoleniami motywacyjnymi dla agentów firmy, Małgorzata jeździ z nim.

Na Mont Blanc Marcin wchodzi w lecie 2000 roku. Dwaj koledzy się wycofali, dociera do celu sam.

Gra w kregle. Walczy w mistrzostwach Polski. Daniel Lewczuk, z którym w liceum grali w koszykówkę, a potem biegali po pustyniach, pamięta budzącą lekkie przerażenie kulę Marcina: przezroczysta z trójwymiarową trupa czaśką w środku.

Rodzice Marcina budują się pod Warszawą, młodzi stawiają domek na tej samej działce. Biorą wspólny kredyt we frankach, waluta jest po 2 złote.

Rodzina nawróciła się na protestantyzm, kiedy Marcin był w liceum. Przeżywali go Pastor, bo chodził z pokreślonym Pismem Świętym, potrafił zagiąć księdza na religii.

Wiosną 2005 roku biorą ślub z Małgosią. W firmie Marcin awansuje na dyrektora projektów sprzedażowych. To tak, jakby znów wszedł na Mont Blanc.

Ile złotych na jeden krok

W przedszkolu specjalnym Orzeszek pod Poznaniem bieda aż piszczy. Brakuje sprzętu rehabilitacyjnego, a nawet papieru i kredek. Nie ma na materace, dzieci śpią na podłodze na kocach. To na Orzeszek zbierają Spartanie podczas poznańskiego maratonu w 2012 roku.

Charytatywną grupę biegową założyli Michał Leśniewski (ma niepełnosprawną córkę) razem z trenerem Jackiem Gardenerem. Pomysł był prosty: będą biegać maratony w strojach Spartan, bo ▶

Dla Marcina Żuka nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedy wiosną tego roku w czteroosobowej ekipie biegaczy lecą do Chin, Marcin prosi do siebie kapitana. Mówi: - Dla nas jest zaszczytem, że możemy lecieć Dreamlinem, ale dla was jest zaszczytem, że możecie nas wieść. Dlatego powinniśmy siedzieć w kabinie pilotów.

Obciach? - Ale pięć minut później rzeczywiście siedzieliśmy w kabinie pilotów - opowiada Daniel.

REKLAMA

Bilety: www.MAKROCONCERT.pl

▶ dwa tysiące lat temu Spartanie nie zdążyli z pomocą Ateńczykom, a teraz zdążą z pomocą dla niepełnosprawnych dzieci.

Ale medialny napęd daje im Marcin. Przed Maratonem Warszawskim ustala z dyrektorem biegu Markiem Troniną, że grupa Spartan pojawi się na konferencji prasowej przed imprezą. Nazajutrz wszystkie gazety o nich piszą.

Bombarduje dziennikarzy e-mailami i esemesami: „Napisz o Spartanach”, często o świecie. Nie jest zbyt mocnym biegaczem, często chodzi w okolicy mety i opowiada o Spartanach. A ludzie wpłacają. Ciśnie też Spartan: - Zrób zbiórkę u siebie w pracy, namów ludzi, żeby przekazali naszym podopiecznym 1 procent.

Wprowadza styl korporacyjny. Wymaga, żeby ludzie przygotowywali raporty o przeprowadzonych przez siebie zbiórkach. Każdą zbiórkę podsumowuje: ile wyszło pieniędzy na jedno dziecko, ile na jeden kilometr biegu, ile na jeden krok. Egzekwuje relacje, które przesyła do PAP, do gazet i telewizji. Roztacza wizje: - Zbieramy 3 tysiące złotych? To będziemy zbierać 300 tys.! Jest nas 30? To za rok będzie nas 300!

Spartanie mają dosyć. Zaangażowali się w projekt z potrzeby serca, żeby uciec od korporacyjnego drylu, nadać swojemu bieganiu dodatkowy sens. Chcą cieszyć się swoim towarzystwem, a nie realizować cele.

- Marcin był ofiarą korporacji - ocenia jeden z nich. - Zrobiła z niego guru, napompowała do granic możliwości, a potem spuściła z niego powietrze.

13 miesięcy w tózkę

W firmie jest na szczycie, ale nie wszystko mu pasuje. Zwierza się żonie, że musi motywować ludzi do sprzedaży produktów, których sam by nie chciał kupić. Ale i tak wypowiedzenie trafia go jak grom z jasnego nieba. Jakby go nagle strącili z Olimpu. Jest grudzień 2012 roku. Marcin po 19 latach pracy kładzie się na kanapie.

- Masz dwie ręce, dwie nogi, sprawny mózg, doświadczenie zawodowe, obłądną wiedzę ekonomiczną, możesz pracować wszędzie - motywuje go Małgorzata.

- Racjonalnie czuję, że masz rację, ale fizycznie i mentalnie nie mam siły - odpowiada Marcin. Wstaje rano, sprząta w domu, robi zakupy i tyle.

Uświadamiają sobie, że to może być choroba. Marcin idzie do specjalisty, leczy się, zaczyna szukać pracy.

- Masz trudne CV. Widać, że nie można ci zaproponować trzech tysięcy, ale kandydatów na dyrektorów jest w Polsce wielu - mówi znajomy. Zaprasza go na rozmowę w firmie doradztwa finansowego. Po 13 miesiącach Marcin wraca do pracy. Bliskim znajomym prezesa firmy okazuje się Daniel od koszykówki.

Danielowi (jest dziś przedsiębiorcą) od kilku lat chodzi po głowie wielkie wyzwanie: cykl 4deserts, kilkudniowe ultramaratony na pustyniach. Sahara, Gobi, Atakama i Antarktyda. Nie ukończył go dotąd żaden Polak. Marcin zapala się natychmiast.

Na jednym ze zdjęć z pustyni Gobi Marcin daje mongolskiej dziewczynce pudełko kredek. Biegł z tymi kredkami przez pięć dni, żeby je zanieść tam, gdzie cywilizacja nie dociera

Małgorzata wie, nie mają na to pieniędzy (koszt jednego biegu to 20-25 tys. zł, a Antarktydy dwa razy tyle), bo oszczędności się skończyły, a dusi ich ciągle kredyt (frank jest już po 4 zł). Przekonuje go, że powinien teraz w stu procentach zaangażować się w nową pracę. - Nie rozumiałam jeszcze, że bieganie to dla niego ucieczka od problemów - mówi Małgorzata.

Zresztą w pracy Marcin jest jak nakreślony. Wstaje o piątej, żeby trenować. Mówi, że zdobył dofinansowanie na wyjazd. W lutym 2014 roku lecą na Saharę, w tydzień mają pokonać 250 km w upale, z plecakiem, na wyścigi.

Reporter mógłby powiedzieć, że to ostatni wzlot Marcina. Lekarz, że to epizod manii lub hipomanii.

Ultramaratończyk

Marcin biegnie przez Saharę z długopisem w rękę. Na każdym punkcie kon-

trolnym zapisuje miejsca i międzyczasy czteroosobowej polskiej ekipy - Daniel Lewczuk, Andrzej Gondok, Marek Wikiera i on. Potem sprawdza w komunikacie organizatorów, czy na koniec dnia nie ma przekłamań. Siada z kolegami i raportuje, jaki kto ma czas łączny, jaką stratę do poprzedzającego zawodnika, a jaką przewagę nad kolejnym. Referuje statystyki, ilu jest zawodników z jakiego kraju, ilu odpadło, ile biegnie kobiet.

Zabiera książkę „Ultramaratończyk” Deana Karnazesa. Wieczorem kuca w namiocie i przy świetle czołówki czyta kolegom rozdział po rozdziale.

Biegacze po etapie starają się maksymalnie odpoczywać, leżą w namiotach. A Marcin godzinami lazi, zagaduje. - Idź spać - mówi mu w końcu o północy Andrzej. Marcin się kładzie, ale nad ranem zastają go przy ognisku, siedzi od 5 rano i rozmawia z Chińczykami.

W Polsce robi szum medialny wokół grupy. Fanpage 4deserts na Facebooku lubi już dwa i pół tysiąca ludzi, biegacze są zapraszani na biegi jako VIP-y. Uświetniają Runmageddon, w Wings For Life startują w drużynie Adama Małysza. Pojawiają się w mediach. W maju na drugiej pustyni, Gobi, Marcin przygotowuje relacje z trasy i to z wyprzedzeniem, zostawia tylko miejsce na wpisanie czasów i wyników.

- Marcin, wyluzuj - mówi mu Daniel, ale ten nie słucha.

Samochodem na Pałac Kultury

Czy to ChAD - choroba afektywna dwubiegunowa? Nie można przesądzić, ale choruje na to 3,5 proc. populacji, 1,2 miliona Polaków. Jeden z nich, Michał, dziś nauczyciel mówi mi: - Żyjemy bez wyzwania, bez kredytu, stabilnie. Żeby nie było nawrotu choroby.

Irena, żona ChAD-owca z portalu Psychiatria.pl, dopowiada: - ChAD jest nazywana chorobą nienawiści do najbliższych. Mój przegrał 60 tysięcy w kasynie, kupił 3 telewizory, miał dziewczyny. A potem, na jesieni, zjazd w depresję. Depresja jest niebezpieczna dla chorych, a mania - dla rodziny.

Łagodną wersją jest hipomania. - Chory ma wtedy dużo energii, poczucie, że wszystko załatwi - wyjaśnia Sławomir Murawiec, psychiatra z centrum terapii Dialog. - Może być zniecierpliwiony

wobec najbliższych, „bo przecież wszystko można zrobić od razu, a ci idioci się opierają”.

Gorsza jest mania. - To stan psychopatologiczny, człowiek nie śpi, cały czas coś robi. Zakłada 5 spółek, rozdaje pieniądze, rozwodzi się i ma 10 narzeczonych, idzie do szefa, powiedzieć mu, że jest idiotą. Jeden z moich pacjentów usiłował wjechać samochodem na Pałac Kultury - mówi dr Murawiec.

Reporter nazwałby ChAD chorobą XXI wieku, świata korporacji i nieustannego dążenia do sukcesu. Lekarz opisałby to trochę inaczej.

- Mamy dwubiegunowy tryb życia. Rano jesteśmy naładowani jak kondensator, ruszamy do pracy, a wieczorem system nas wypłukuje i padamy jak miś z reklamy Duracella. ChAD to rozregulowanie tego mechanizmu - mówi prof. Bartosz Łoza, kierownik Kliniki Psychiatrii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Pierwszy epizod depresyjny u kobiet zdarza się najczęściej po urodzeniu dziecka. U mężczyzn - po wyrzuceniu z pracy.

- Praca w korporacji jest ostatnim terytorium realizacji męskiego wzorca ewolucyjnego - mówi prof. Łoza. - Tu nie tylko wolno, ale należy rywalizować. W pracy nie chodzi o pracę, tylko o pozycję, poczucie wielkości, godności.

Profesor opowiada, że typowy pacjent kliniki psychiatrycznej to młody człowiek, który w kryzysie wziął kilka tysięcy pożyczki bez zabezpieczeń. A teraz zrobiła się z tego suma kilkunastotysięczna, której nie jest już w stanie udźwignąć. Ale nie każdy popełnia samobójstwo.

- Żeby się zabić, trzeba być menedżerem - stwierdza prof. Łoza. - To kwestia zarządzania projektem eschatologicznym.

Koniec biegania

Po powrocie z Gobi Marcin z Andrzejem prezentują zdjęcia przed Biegiem Urynowa. Na jednym Marcin daje mongolskiej dziewczynce pudełko kredek. Daniel pamięta, że biegł z tymi kredkami przez pięć dni, żeby je zanieść tam, gdzie cywilizacja nie dociera.

Marcin wie już wtedy, że musi się z projektu wycofać. Nie znaleźli sponsora i naprawdę nie ma skąd wziąć pieniędzy na kolejny wyjazd. Matka Marcina dopiero potem zrozumie: w tym świecie

biegowym wszystko od niego zależało. W realnym - nie.

W pracy nie idzie mu najlepiej, boi się, że go zwolnią, rozmawia o tym z Małgorzatą. 21 lipca Marcin nagle znika, jednak wieczorem się odnajduje. Trafia do szpitala, ale przecież nie weźmie zwolnienia od psychiatry, bo zaraz wyrzucą go z pracy.

Wyrzucają go tydzień później. Wpada w depresję, ale już chodzi do psychiatry, dostaje leki. Siada na kanapie i mówi: „A co będzie, jak się nie uda?”

- W tych stanach depresji nie był w stanie się modlić. Jakby Bóg nie istniał. Wiem, bo też się tak kiedyś czułam - mówi matka.

Obchodzi 40. urodziny. Idą z żoną na Pole Mokotowskie, potem na tort z rodzicami Marcina.

Znajomi (ojciec prosił, żeby dali mu teraz trochę spokoju) przysyłają e-mesy z życzeniami. A Marcin odpisuje tylko: „Dzięki”.

- Jak nie on - dziwi się Andrzej. - Dawniej toby oddzwonił, zawsze mówił, że woli rozmawiać niż pisać. Szczególnie tak lakonicznie.

Zaczyna szukać pracy, wysłała CV i dostaje dobrą propozycję w doradztwie finansowym. W poniedziałek 8 sierpnia na drugiej rozmowie kwalifikacyjnej uzgadnia szczegóły. Jest dobrze?

- Tu chodzi o wewnętrzne znaczenie, jakie tej sytuacji nadaje chory. Z zewnątrz powiedzielibyśmy, że taka fajna praca, ale chory może obawiać się, czy podoła, czy znowu jej nie straci - komentuje dr Murawiec.

W środę rano Marcin żegna się z Małgorzatą: - Cześć. - Cześć.

Ma ją odebrać z przystanku, kiedy będzie wracała z pracy.

Po południu nie odbiera telefonu. Kiedy Małgorzata dociera do domu, Marcin już nie żyje.

Zostawia niedopitą herbatę i otwarty e-mail od Daniela z zaproszeniem na spotkanie z kanadyjskim biegaczem Stefanem Danisem, który ma dołączyć do ekipy na ostatniej z pustyń - Antarktydzie. Daniel, Andrzej i Marek wyruszają na bieg w czwartek, pobiegną z czarnymi opaskami.



Napisz do autora
wojciech.staszewski@newsweek.pl



Sponsor Generalny

Polskiego Komitetu

Olimpijskiego



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

